

Czy pandemia kiedyś się skończy? Tak, jeśli...

5 marca 2021

Nad tym, kiedy skończy się pandemia zastanawiają się chyba wszyscy śledzący uważnie kolejne doniesienia z walki z „niewidzialnym wrogiem” – nowym koronawirusem. „Jeszcze dwa tygodnie”, „jeszcze miesiąc”, „już niebawem wygramy” – ile razy słyszeliśmy podobne słowa z ust naszych decydentów? Mija rok od momentu, gdy nasz świat wywrócił się do góry nogami i dlatego warto zadać pytanie: czy to się kiedyś w ogóle skończy?

Pandemia stała się już właściwie zjawiskiem społecznym. To nie chwilowe zagrożenie, lecz permanentne niebezpieczeństwo czające się nie tyle na zewnątrz, ale wewnątrz nas. „Zabić” może nas drugi człowiek (nawet bliska nam osoba), a zakazić możemy się zawsze i wszędzie, nawet wówczas, gdy będziemy siedzieli w domach, pozamykani na cztery spusty.

4 marca 2020 polski rząd wypowiedział wojnę koronawirusowi, rozpoczynając lockdown. To wtedy ruszyła machina, która po dziś dzień niszczy życie wielu ludzi, a na psychice każdego z nas pozostawia piętno. Napisałem o lockdownie kilka tekstów, zastanawiałem się nad tym czy istnieje jakieś wyjście awaryjne z tego zapętlenia, w jakie wpadł polski rząd. Czy można bowiem tak po prostu odwołać lockdown? Było co najmniej kilka okazji, by to zrobić. Najbardziej sprzyjającym momentem wydawał się okres wakacyjny ubiegłego roku. Ale jesienią zmieniło się wszystko. Pozamykano liczne branże, na oślep wprowadzono obostrzenia niszcząc stopniowo nie tylko gospodarkę, ale także dorobek życia wielu ludzi.

Tamte miesiące uzmysłowiły nam, że lockdown stał się rodzajem nowej ideologii, metodą dostosowaną do współczesnych czasów. Powojenny paradygmat liberalny oparto na państwie wtopionym w

struktury organizacji międzynarodowych, jako gwarancie naszego bezpieczeństwa. Politycy poczuli to, stając się de facto panami naszego losu. Skoro rozliczani są z tego, jak dbają o nasz dobrobyt, zdrowie i życie to poczuli się w obowiązku, by pieczołowicie się tym wszystkim zająć. Jak pisał Hayek, kto oddaje wolność w zamian za bezpieczeństwo nie będzie miał ani jednego, ani drugiego. I pandemia to właśnie nam uzmysławia: rząd uzurpuje sobie prawo do niszczenia naszego życia, owoców naszej pracy, nakładania coraz wyższych podatków, przejadania zarobionych przez nas pieniędzy, uzasadniając to wszystko naszym bezpieczeństwem.

Jest co najmniej kilka przesłanek, że stan lockdownu – miękkiego lub twardego – może być stanem permanentnym, niezależnym zupełnie od tego, czy szpitale są przepełnione czy też nie. Zapowiada to poniekąd stanowisko specjalistów interdyscyplinarnego zespołu specjalistów przy PAN, w którego autorzy wręcz oczekują zmiany norm społecznych. Zmiany odgórnej, jakżeby inaczej.

Może jednak zdarzyć się i tak, że bezradni wobec walki z pandemią politycy zechcą nieco odpuścić i porzucić szaloną ideologię „zero covid”. Istnieją mocne przesłanki za jedną i za drugą opcją. Warto je krótko przeanalizować, by mieć świadomość, w jakim punkcie tego szaleństwa jesteśmy.

Kryzys zdrowego rozsądku

4 marca 2020 był w Polsce dniem, w którym dokonano zamachu na to, co akurat jest mocną cechą Polaków: zdrowy rozsądek. Diagnozował to świetnie Mirosław Dzielski, poszukując źródeł naszego zdroworozsądkowego podejścia do życia i impregnowania na ideologie w ludowym charakterze religijności.

Trudno jednak nie zauważyć, że od kilku lat przez Polskę gwałtownie przetacza się fala laicyzacji. Jej efektem jest oczywiście wiara w rozmaite zabobony, poszukiwania jakichś innych form tożsamości, porządkujących rzeczywistość duchową.

Jedyną drogą w tym przypadku jest oczywiście chrześcijaństwo, wszak współczesne ideologie – o zabobonach nawet nie wspominam – sieją w duszach raczej spustoszenie fałszywymi koncepcjami antropologicznymi czy jakimiś pokrzywionymi wizjami soteriologicznymi. To wszystko łączy się oczywiście z wszechobecnym konsumpcjonizmem, doświadczeniem świata bez ograniczeń. Gdy na taką glebę trafia modyfikowane ziarno chorej koncepcji „zero covid”, efekty mogą być opłakane. Wielu z nas – niestety – poddało się zbiorowej psychozie wierząc, że możliwe jest zwalczenie pandemii poprzez zamknięcie ludzi w domach i ograniczenie naszej aktywności.

Najbardziej szkodliwym bodaj argumentem zwolenników lockdownu jest twierdzenie, że nie istnieje inna metoda walki z pandemią. Tak robiono zawsze i koniec kropka. Aż dziw bierze, że lecząc jakieś schorzenia i choroby ci sami ludzie nie zaczynają kuracji od upuszczania krwi, wszak tak przecież robiono zawsze. I czasem pewnie działało. Trudno przecież pominąć fakt, że przez ostatnich sto lat ludzkość dokonała wielkiego skoku cywilizacyjnego. Nie sposób porównać stanu obecnej wiedzy medycznej, dostępu do środków higieny osobistej, upowszechnienia opieki zdrowotnej a także licznych możliwości technologicznych z tym, czym dysponowaliśmy chociażby sto lat temu, mierząc się z hiszpanką.

Inna sprawa to kwestia mobilności społecznej. Ogromna część naszego życia opiera się właśnie na wolności i swobodzie poruszania się. To właśnie szybkość przemieszczania się i nowe możliwości komunikacji dały światu niespotykane dotąd szanse rozwoju. Jeśli dodać do tego rosnącą liczbę ludności i wysokie wskaźniki urbanizacji w krajach rozwiniętych, dochodzimy do prostego wniosku: zamknięcie całych społeczeństw na kilka tygodni – a tego chcieliby zwolennicy lockdownu – jest po prostu niemożliwe. Koncepcja „zero covid” opiera się na utopii. Żeby skutecznie wcielić ją w życie, należałoby w krótkim czasie przetestować całe społeczeństwa, uważnie śledzić wszystkie kontakty zakażonych i skutecznie izolować

chorych oraz osoby z kontaktu. Do tego potrzebna jest nie tylko totalna władza rządu nad rządzonymi, ale również zdyscyplinowanie i odpowiednio ukształtowana mentalność tych innych. A to okazało się problemem w nawet państwach azjatyckich. A zatem jeśli ludzie ukształtowani przez konfucjanizm nie dopisali to wiara, że wielki projekt walki z COVID-19 niemedycznymi środkami powiedzie się w państwach z kręgu cywilizacji chrześcijańskiej i to w dodatku bez szkody dla naszej wolności i poszanowania praw, jest naiwnością.

No, ale jeśli zmienimy mentalność, zmusimy, dociśniemy i klasa robotnicza z klasy w sobie stanie się klasą dla siebie... znacie państwo ten sposób myślenia, prawda? Zamiast rozwiązać realny problem pandemii zideologizowano walkę z nią, wyznaczając nierealne cele.

Czy jest zatem choćby promyk nadziei, że to wszystko jednak może się skończyć inaczej niż budowaną latami misterną konstrukcją systemowej i permanentnej walki z pandemią?

Upadek utopii

Historia uczy nas, że wszystkie próby tworzenia utopii spalają na panewce, okazując się wydmuszkami, miast znaczącymi, dziejowymi skokami cywilizacyjnymi. Wydaje mi się, że kluczem do zlokalizowania źródła możliwego szybkiego upadku ideologii „zero covid” jest pojęcie „nadrzeczywistości”, ukute przez Alaina Besancona. Francuski filozof używał tego pojęcia opisując losy ideologii komunistycznej w Związku Radzieckim. Diagnozował, że władza kreowała tam rzeczywistość, która w istocie nie istniała. Stosowała siatkę pojęciową nie odpowiadającą temu, jak świat naprawdę wyglądał.

Obecnie mamy do czynienia z podobną sytuacją. Najlepszym przykładem stosowania języka nie odpowiadającego rzeczywistości, jest posługiwanie się terminologią fali pandemii. To dziwaczny konstrukt raczej nie znajdujący odzwierciedlenia w tym, co widać w statystykach. Podobnie

przekonywanie nas o skuteczności lockdownów: doskonale widać, że są miejsca, gdzie mimo obowiązywania powszechnej niemal blokady życia społecznej wzrasta liczba zakażeń. To dlatego Słowacy wprowadzili absurdalny wymóg zakazu wychodzenia z domu bez negatywnego testu na zakażenie koronawirusem. To efekt paniki i świadomości, że chińska koncepcja przymusowego zamykania ludzi w domach okazuje się nieskuteczna na gruncie europejskim. Od wymogu testu już tylko jeden krok do zabijania deskami drzwi osób przebywających na kwarantannach. Jeśli bowiem testy zawiodą, to dlaczego nie spróbować i tego?

To wszystko jednak sprawia, że władza przestaje być wiarygodna. Ukształtowani przez katolicyzm Polacy zachowują jeszcze resztki trzeźwego oglądu rzeczywistości, kierując się chrześcijańską cnotą umiarkowania. Wracają zatem do omijania niektórych zakazów, uznawanych niemal powszechnie za sprzeczne z logiką i zdrowym rozsądkiem. Rząd wprowadza obostrzenia, a rządzeni – udając na ile się da posłuszeństwo – łamią je cichaczem, mrugając do siebie okiem. Intuicyjnie diagnozujemy istnienie tej nadrzeczywistości, a to już znaczący postęp w kierunku wywierania silnej presji na powrót do jakiejś formy normalności.

Trudno powiedzieć, co wydarzy się w najbliższych miesiącach. Pesymiści przekonują, że przez kilka najbliższych lat będziemy trwać w stanie lockdownu (twardszego lub miększego), zaś optymiści oceniają, że jeszcze w tym roku epidemia zostanie pokonana. Wydaje mi się – tak, trudno tutaj o jakiś zdecydowany sąd – że wiele zależy od tego, jak zachowają ci, którzy stali się mimowolnymi uczestnikami lockdownowego eksperymentu, czyli my sami. Jeżeli zachowamy zdrowy rozsądek i zachowaniami wyślemy jasny sygnał, że mamy dość pandemii, być może czeka nas jednak jakiś powrót do stanu sprzed 4 marca 2020 roku. Tylko czy takiej determinacji wystarczy pogrążonym w dekadencji społeczeństwom innych krajów Zachodu?

Autorstwo: Tomasz Figura

Źródło: Bibula.com